

Grey Scale #13



Part Code ST1316



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



OCENIENIE

„SZKOŁY”

PISMA

poświęconego sprawom szkół ludowych i średnich,

tudzież

seminaryów nauczycielskich.



Nr 596.
Nr 336 1845.

336

W KRAKOWIE

W DRUKARNI „CZASU” W. KIRCHMAYERA.

1868.



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches
Centimetres
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19



Ad. 31. 1585

274

OCENIENIE „SZKOŁY”

PISMA

poświęconego sprawom szkół ludowych i średnich,

tudzież

seminaryów nauczycielskich.

Nr 596.

Nr 336 1845.

336



W KRAKOWIE

W Drukarni „Czasu” W. Kirchmayera.

1868.

OCENIENIE
„SZKOŁY“

PISMA

poświęconego sprawom szkół ludowych i średnich,

tudzież

seminaryów nauczycielskich.

Odbicie z dziennika „Czas“.

W KRAKOWIE

W Drukarni „Czasu“ w. Kirchmayera.

1868.

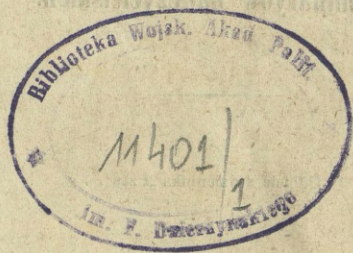
12087

37



WYDZIAŁ
BIBLIOTEK
KRAJOWYCH

Wydawnictwo naukowe i techniczne



WARSZAWA

1881

„Kto milczy ten pochwała“, oto zdanie, którem redakcja „Szkoly“, pisma pedagogicznego wychodzącego we Lwowie, sama sobie wydaje absolucyę z półrocznych jej usiłowań, na polu agitującej się dziś reformy naszego wychowania publicznego. „*Qui tacet, consentire videtur*, a więc kierunek przez nas obrany“, rzecze redakcja. „zgadza się z zapatrywaniem wszystkich dobrze myślących obywateli kraju, i przyjmujemy milczenie opinii za znak, że nic w nim do zganienia nie znalazła“.

Axioma, którem redakcja „Szkoly“ wobec swych czytelników pragnie zastąpić sąd o niej właściwy, jest jak wiadomo wymysłem prawników. Prawnik, gdy nie odparto jego argumentów, lub je milczeniem pokryto, choćby nikogo nie przekonywały, może w swej sprawie wyrzec sofistycznie: „*qui tacet consentire videtur*“.

Inna atoli rzecz prawnika, szermierza paragrafami ustaw pozytywnych, a inna szermierzy występ-

pujących w obronie najwyższego interesu narodowego. Tamten, obracając się zazwyczaj w kółku prawa prywatnego, choć jednego urwie, to drugiemu przysporzy, zaczem po targu z sumieniem i zasadami ekonomii narodowej, gdy wszystko w kraju zostaje, może być próżen zarzutu. Ci, biorąc na siebie dobrowolny obowiązek bronięcia praw, tkwiących początkiem w ustawach palcem bożym pisanych, przedewszystkiem z sumieniem wiśni się policzyć, czy podołają tak wielkiemu zadaniu. Jakoż zerwawszy się na to, choćby za najszlachetniejszym popędem, jeżeli dostatnie nie są przygotowani, uronić mogą część najcenniejszego mienia narodowego, i zamiast służyć dobrej sprawie, narazić ją na niepowetowane straty. Sejm z nie małym trudem i poświęceniem wywalczył krajowi możność zreorganizowania wychowania publicznego w duchu jego potrzeb. Czyż na to, aby za sprawą tak wielką powstał obrońcy, którzyby zadowoleni formami, w treści rzecz pozostawili jak była? poczem umywszy ręce, prawniczą zasłonili się formułką?

Powiedzieć o sobie „że kierunek przez nas obrany, zgadza się z zapatrywaniem wszystkich dobrze myślących obywateli kraju“, trąci co najmniej wielkiem zarozumieniem. Twierdzenie to uprzedza czytelnika nie najlepiej o redakcyi „Szkóły“; ma ono przecież tę niezaprzeczoną zaletę, iż jako śmiałe wyzwanie, milczeniem pominiętem być nie może. Dotąd można było uważać „Szkółę“ jako organ lu-

dzi, łączonych chwalebnym zamiarem wymiany swoich pomysłów, w celu poprawienia rażących wad w naszym wychowaniu publicznem. Z tego względu usiłowania „Szkóły“ zasługiwałyby na uznanie. „Szkola“ pojęła to dobrze, gdy na wstępie do swego pisma w te do kraju odezwała się słowa: Przypatrzmyż się brakom, jakie tak w nas samych, jako też i w całym szkolnictwie naszym napotykamy“. Z pierwszej atoli części tego chwalebnego zamiaru „Szkola“ nie wywiązała się wcale, w drugiej zaś wiele jeszcze dłużną nam pozostała.

Przekonywają nas o tem już pierwsze wyrazy w jej półrocznem sprawozdaniu, przekonywa mniejwięcej cała tego pisma osnowa.

Oto owe wstępne ze sprawozdania wyrazy: „O Redakcyi. Z niniejszym zeszytem rozpoczynamy drugi tom naszego pisma“. Już te wyrażenia są dowodem, że „Szkola“ w czasie półrocznego wydawnictwa swego, jeszcze w samą siebie nie weszła, skoro wyrazami polskimi po niemiecku pisze: *Von der Redaction. Mit dem gegenwärtigen Hefte...* Wchodzący u nas coraz więcej w zwyczaj sposób pisania: *od dyrekcji, od redakcyi, od zarządu, od wydziału* i t. d. jest dosłownym przekładem z niemieckiego *Von der Direction, von der Redaction, von der Administration, vom Ausschusse* i t. d., a przeto niezgodnym z duchem języka polskiego giermanizmem. Co bowiem przodem w myśli, to w polskim języku czołem w zdaniu, a

przeto podmiot w pierwszym przypadku; zaczem nie „od redakcyi“ lecz „redakcyą“, „wydział“ it. d. ma się rozumieć: *czyni wiadomo, wzywa, oświadcza, uprzedza, uprasza*, i t. p. Sposób wyrażania się *od redakcyi, od wydziału*, i t. d. przypomina mimowolnie chłopiąt od gramatyki, do których też ten elementarny wykład stosujemy. Giermanizm ten niestety tak się już rozwielił, że wielu nawet nie razi. Przecież pismo pedagogiczne, które się „*Szkołą*“ nazwało, nietylko unikać go powinno, ale we wszystkiem najsumienniej przestrzegać ma czystości języka. Poucza nas bowiem dydaktyka, że język, to główny nauk przewodnik. *Szkole* wydaje się to snąć rzeczą podrzędną, skoro zaraz potem wpada w drugi, grubszy jeszcze giermanizm, mówiąc: *z niniejszym zeszytem rozpoczynamy* . . . „*Szkoła*“ przybierając ku pomocy niemieckiego socyusza *mit*, wzmocniła nim tylko swoją niewiadomość, osłabiła jednak myśl polską, wyrażaną zawsze czystym narzędnikiem, a zatem: *Niniejszym zeszytem rozpoczynamy* i t. d.

W całej „*Szkole*“ niestety giermanizmów pełno! I nie dziw, bo kształconym na niemieckim systemie autorom artykułów tego pisma trudno się dopilnować w każdym pojedynczym wyrazie. Od czegoż jednak redakcyą? Ażaliż Sejm na to wywalczył krajowi możność reformy wychowania i nauczania, aby pismo *Szkołą* się nazywające i mieniące się być organem reformy, siało po kraju gramaty-

czne błędy, aby ducha nam przeciwnego stroiło w szatę polską ku o bałamucaniu tych, którzyby się na polskich kształcić chcieli pedagogów? Cóżto za „Szkoła“ w polskim wydawana języku, której redakcyja błędy językowe popełnia? Ona, co pod względem języka swym czytelnikom winnaby być wzorem, miałażby się stać kazicielką pięknej przodków naszych mowy!

Czytając umieszczony w czerwcowym zeszytcie artykuł: „*O potrzebie przyjęcia jednakowej nomenklatury chemicznej*,” trudno zaiste uwierzyć, aby rzecz tak niedołąźnie napisana, znaleźć mogła umieszczenie w piśmie pedagogicznem, którego redakcyja ważności swego zadania, choćby słabe miała poczucie. Jakiś nauczyciel, czy amator chemii, krytykuje tam nomenklaturę profesora chemii w uniwersytecie krakowskim. Nicby w tem nie było zdrożnego, zdarzyć się bowiem może, że młodszy starszego, niższy wyższego właściwie zdoła ocenić i w danym razie poprawić, jeżeli jest panem przedmiotu. Takiego atoli przekonania o autorze rzeczy powyższej nabyć niepodobna. Kto bowiem w przeprowadzeniu swego wniosku wyrzeka, że „nigdzie tak słabo nie kultywowano chemią jak u nas,” kto dalej prawi o „książkach chemicznych do użytku szkolnego przypuszczonych,” i t. d. i t. d. ten oczywiście po polsku nie umie, a przeto do zabierania głosu w poprawieniu nomenklatury polskiej zrywać się nie powi-

nien. Takimi bowiem wnioskami, mówiąc własnym autora językiem, nie zdołałby on nigdy „u m o zliwić na końcu (!) doprowadzenie sprawy do pożądanego skutku.“ Że naszego autora polectała chęć popisania się artykułem w „*Szkole*,“ wcale się nie dziwimy, żyjąc w epoce, w której wszyscy pragną nauczać, a nikomu uczyć się nie chce; ale redakcyja pisma pedagogicznego wiedziećby przecie powinna, co się godzi, co nie godzi umieszczać w piśmie podobnem.

Uboga pod względem języka, nie grzeszy „*Szkola*“ wcale bogactwem pomysłów w przedmiotach zamierzonej reformy publicznego wychowania. Myśl autora artykułu „o *seminaryach nauczycielskich*,“ aby „kraj przez Radę szkolną i inne odpowiednie organa wybierał najzdolniejszych nauczycieli, uposażył ich dostatecznie i wysłał na dłuższy czas za granicę, celem zwiedzania seminariów nauczycielskich i uczęszczania w nich na naukę,“ wydaje nam się wcale niewłaściwą, a nawet zgubną. Grosz publiczny, na ten cel łożony, byłby rzeczywiście zmarnowany. W najpomysłniejszym bowiem wypadku, urzeczywistnienie podobnego projektu, przyniosłoby na grzędę naszych seminarij nauczycielskich, ziarna nader wątpliwego względnie nas pożytku. Ale co gorsza, własne rodzime zakładów tych zasady na tem ucierpiećby musiały. Wszakże seminaria nauczycielskie to także szkoły, które w duchu narodowym winny być zorganizowane. Ich więc zasady

wysnuć należy z ducha rzeczywistych potrzeb narodu, które mogą być i rzeczywiście są różnemi od potrzeb innych narodów. Tam tylko, gdzieby zagranica szczególnie jaki, mogący do nas mieć zastosowanie, rozwinęła w sposób godny naśladowania, przejąć go od niej należy, t. j. uzupełnić nim organizm własnych zasad. Do zwiedzania przeto zagranicy powoływani być winni tylko ludzie fachowi, a z tych znów tylko ci, którzy znając dokładnie potrzeby narodu, w celu przyjęcia postępów z zagranicy szczegółów, wybrać się tam mogą z gotową w głowie organizacją. Ludzie niedojrzali, niefachowi, nieznający właściwych potrzeb kraju, marnują grosz na podobny cel łożony, i krajowi zamiast pożytku przynoszą tylko straty. Zbudować na własnym gruncie narodową wychowania reformę, a obcem doświadczeniem posiłkować się w potrzebie, oto cel wielki naszych usiłowań, nasze dzisiejsze zadanie. Nierozsądnemu zaś zagranicy małpowaniu należy położyć tamę. Wiecznie u nas powtarzająca się chęć zwiedzania zagranicy i jej uwielbiania, pochodzi z braku znajomości tego, co sami mamy i cośmy sami z ducha naszego wysnuli. Z tego względu jedna część kraju staje się dla drugiej prawdziwą zagranicą. Taką „zagranicą“ dla „Szkoły“ wydaje się być tradycyjna naukowość polska. W niejednym też względzie dziś Kraków dla Lwowa stał się zagranicą.

Artykuł pod napisem: „*W sprawie szkół ludowych*“ zawiera wprawdzie szczegóły godne uwagi, wnioski atoli wyprowadzane z dostrzeganych między ludem objawów, nie zasługują na nazwę krytycznych. Niepodobna bowiem bezwzględnie utrzymywać, iż na uchylenie wstrętu ludu naszego do szkoły, nie ma „innego sposobu jak prawem przepisany przymus szkolny.“ Nie można też zasłaniać się w tem, przymusem niemal w całej Europie istniejącym. Szczegół ten ze względu na to, że dawna Polska nie znała przymusu szkolnego, i że lud nasz tysiącnie dowodzi faktami jako oświecać się pragnie, należało wcale inaczej postawić, a złego istniejącego poszukać w nienaturalności wrogiego nam systemu. Okoliczności tej zaledwie dotyka autor artykułu, a powinien był na pierwszym postawić ją miejscu i należycie rozwinąć. Przymus szkolny bez wątpienia w początkach stanie się u nas potrzebny, jest on bowiem koniecznym obecnemu systemu następstwem, przeczmy jednak stanowczo, aby na uchylenie wstrętu ludu do szkoły nie było innego środka. Jest nim naturalność systemu naukowego, za którego wprowadzeniem przymus z czasem stanie się wcale zbytecznym

Pod napisem: „*System klasowy i alternowanie w szkołach ludowych*“ mieści „*Szkoła*“ artykuł, którego autor, broniąc tak zwanego alternowania (kolejowości), umiał na tym szczegóły wykazać smu-

ne położenie nauczycieli wiejskich i konieczność poprawienia ich losu. Arterya to w naszym społecznym organizmie niesłuchanie ważna, a również niesłuchanie zaniedbana. Wymaga ona szczególniejszej pieczołowitości ze strony tych, którym naród porucił reorganizację wychowania publicznego. Przecież i nauczyciele sami wykazaniem moralnych w łonie swem zasobów przyczyniać się powinni do wywalczenia sobie pomyślnego załatwienia tej piekącej sprawy. Niewywalczą go zaś artykuły wprost do tego dążące (*O podwyższeniu płacy nauczycieli szkół ludowych*), które zazwyczaj spotyka los natrętów, ale wywalczyć mogą artykuły jak powyższy, przypominające narodowi ważność stanowiska nauczyciela wiejskiego.

W każdym piśmie publicznem, mianowicie zaś treści pedagogicznej, przestrzeganie form właściwych należy do pierwszych redakcyi obowiązków. Albowiem wadliwość w formach rzuca niekorzystne światło na treść rzeczy, choćby ta zkądinąd godną była uznania.

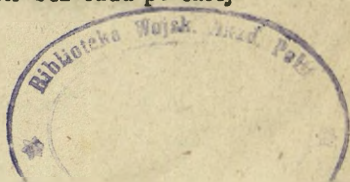
W łamach pisma swojego mieści „Szkola“ ważną rozprawę pod napisem: „Zasada dla szkół ludowych, wysnuta z postrzeżeń psychologiczno-pedagogicznych, a na historii oparta.“ Przedmiot to godny zastanowienia umysłów najpoważniejszych, tem bardziej, że od dobrego zreorganizowania naszych szkół początkowych, zawisła pod licznemi względami dobroć reformy wyższych także zakładów.

Położony ogólnie fundament do jakiegokolwiek budowy, jest warunkiem należytego jej rozprowadzenia i rękojmią jej trwałości. W rzetelne przeto zreorganizowanie szkół początkowych wkładać winna reforma jak najczujniejszą bacność, iżby ów krótki czas umysłowego zasiewu u wiejskich pacholąt, jak najskuteczniej wyzyskać. Powyższa praca zamierza jak się zdaje przedmiot ten wyczerpnąć, snuje się bowiem już przez sześć zeszytów, a sądząc według tego co dano, daleko jeszcze do końca. Autor jej usiłuje wykazać nicość zastosowywanych dotychczas w naszej szkole ludowej ogółowych teoryj, t. j. takiej szczypty nauk ogólnych, z pomocą których uczniowie w praktycznych życia zawodach radzićby sobie powinni. Usiłowanie autora jest chwalebne i zasługujące tem bardziej na uznanie, iż podobne ogółowych formułek nauczanie sprzeciwia się zasadom zdrowej dydaktyki i umysłowi polskiemu w najwyższym stopniu jest wstętne. Autor rzeczonyj rozprawy, w miejsce takiego ogółowo teoretycznego wychowania i nauczania, stawia tak zwaną „metodę praktyczną,“ której podstawą ma być praca fizyczna, na wolnem ile możności powietrzu, i na niej dokonywany powolny rozwój umysłowych władz dziecka. Pomysł to niezły, jakkolwiek w przeprowadzeniu ograniczony do praktycznych zawodów rolnictwa, niższego przemysłu i niektórych rzemiosł. Z dalszego dopiero ciągu tej pracy dowiemy się zapewne, jak autor rzeczonyj rozprawy, który tyle

szkodliwego zdrowiu ślęczenia na szkolnych ławach w zamkniętych pokojach, koniecznie pragnie unikać, radzić sobie myśli z elementami czytania i pisania, jak wyzyska najsposobniejszą do nauki porę t. j. zimę. Autor nie spostrzegł się, że daje tu rady własnej zasadzie przeciwne t. j. niepraktyczne, bo pod wielą względami niewykonalne. Czyniąc korzyść realną bożyszczem i ostatecznym celem szkoły, zapomniał, że głównem zadaniem szkoły ludowej jest wychowanie. Nie chcemy podawać w podejrzenie zasady autora, za którą wiele względów przemawia, przecież wątpimy, aby szczegółowo wykonać się dała. Któżby nie podzielał jego zdania, iż szkoła winna być „zakładem do życia przysposabiającym“, iż szkoła tym celem pytać się winna życia domowego, czego ono żąda po tych, którym owem życiem żyć przeznaczono, iż wypada nam koniecznie obejrzyć się za naturalniejszymi środkami kształcenia, które gdyby istniały, sameby wydały zdrową metodę, a uchyliły sposoby sztuczne, oderwane i teoretyczne. Zaczem „szkoła ludowa kształcić winna ludzi religijno-moralnych i użytecznych obywateli.“ Rzecz to aż nadto jasna, aby zarzutowi miała podpadać. Niepodobna przecież żądać od szkoły, jak tego autor wymagać się zdaje, aby wydawała gotowych, że tak powiemy, obywateli, rolników lub rzemieślników; na pierwszych bowiem jeszcze zawcześnie, na drugich trzeba szkół specjalnych. Do tego wszystkiego

szkoła ludowa kładzie tylko podwaliny. Bez pewnych ćwiczeń fizycznych szkoła się nie obędzie. Robić jednak z pacholecia zaraz parobczaka lub terminatora, byłaby to rzecz z gruntu chybiona i niedająca się wcale w szkole przeprowadzić. Niepodobna też pochwalać sposobu, jakim się autor do przeprowadzenia swego założenia zabiera. Pragnąc być gruntownym, staje on się niezrozumiałym. Chcąc przedmiotowo rzecz do samego dna wyczerpnąć, autor popada co krok w podmiotowość, popisując się wszędy swą erudycją, której w właściwej mierze używać nie umie. Zapuszczając się myślą w głębiny przedmiotu nie czyni on tego, ileby rzecz na razie wymagała, zaczem gubi nieraz wątek właściwy i nuży czytelnika. Tenże, idąc w ślad za nim, musi nieraz kartki odwracać i szukać tytułu, aby się dowiedzieć, o co tu właściwie rzecz idzie, bo nie wie, jak ze szkołą ludową pogodzić takie n. p. ustępy: „Czyliż w szkołach, rozumie się ludowych, nie mają przyszłe matki, żony i gospodynie zaczerpnąć zachęty do badania praw rozwoju ludzkiego ducha, w tym celu, aby umiały owoc swego łona prawidłowo w rozwoju duchowym wspierać!“ lub inny: „Człowiek, badając prawa tego potężnego procesu urabiania się i postępowego udoskonalania powszechnej historyi, podnosi się do widoku najwyższej, nie-

skończenie wysoko nad zmysłowością i naturą wzniesionej idei, do widoku owego nieskończonego ducha wszechświata, który tak w historyi jak w naturze się pojawia“ itd. itd. Mgliste to, spekulacyjne frazesy kroju niemieckiego, nie mające żadnej styczności ze szkołą ludową, a nadto niewątpliwie niezrozumiałe większej części nauczycieli ludowych. Autor szermując za metodą praktyczną, powinien był przedewszystkiem sam się jej chwycić w swej rozprawie, a rzecz jego stałaby się zrozumialszą i tem samem pożyteczniejszą. Upodobawszy sobie atoli w wymarzonem tytule, snuje on naprzód swe spostrzeżenia psychologiczno-pedagogiczne i dopiero w majowym zeszytcie przystępuje do wykazania, że zasada powyżej rozwinięta miała już zastosowanie w różnych krajach Europy. Byłby on zdaniem naszym rzecz sobie ułatwił, i czytelnikowi wdzięczniejszą ją uczynił, gdyby rozwój jej na historyi był wykazał i na jej tle był rozwijał swoje teorie. Gdyby krok w krok szedł był za pracą dziejową i z niej wyprowadzał swe wnioski, to polecana przezeń „praktyczna metoda“ w nim samym miałaby przykład godny naśladowania. Dążność autora dająca się streścić w tem: aby szkoła ludowa trzymała się naturalnych nauczania sposobów, rozwijając stopniowo umysłowe władze dzieci na stosunkach najbliższej je otaczających, wcale jest godną uznania. Rozrzucone atoli bez ładu po całej



rozprawie pomysły, powtarzane niepotrzebnie, musiałyby dopiero czytelnik według potrzeby zestawiać i układać w osobne grupy w celu ich zużytkowania. Język autora tej rozprawy różni się wprawdzie korzystnie od tego, jakim przemawia autor projektowanej „nomenklatury chemicznej.“ Większa atoli część ustępów jego rozprawy zyskałaby na jasności, gdyby jej połowę, a nawet więcej, słownego odjęto balastu. Znać tam wszędy szkołę niemiecką. Peryody prawdziwie tam ołowiane.

Ta ostatnia uwaga stosuje się do większej części artykułów „*Szkoły*“ a mianowicie do artykułu pod napisem: „*Kilka słów o ważności Fizyki.*“ W jednym z ustępów tej dziwacznej próby stylu, jest mowa o teorii ciepła, o konserwatorze starych pozostałości, o powszechnie uznanych (nie-)prawdach, o mieszanem publiczu, o wiązany m ciepliku, o psie z łańcucha spuszczanym, o złodzieju od domu płoszonym itd. a to wszystko w jednym sążnistem zdaniu bez punktu. O cierpliwości papieru i czcionek, zdolna znieść podobne dydaktyczne dziwolągi! Ma przecież artykuł ten w porównaniu z poprzednim niezaprzeczoną zaletę krótkości.

Inny znów dydaktyk, mając rzecz „*o nauce przygotowawczej do czytania początkowego*“ kończy ją następującym frazesem: „Dopiero gdy przez rozmowy poufałe lekliwość w dzieciach

przełamaleś, do śmielszego z sobą (?) rozmawiania je wdrożyłeś, ich serca i miłość pozyskałeś dla siebie i wszelkimi delikatnymi nitkami spajającymi z sobą (?) ich dusze powiązałeś, gdy wreszcie przez rozmowy, bajki, powieści różne i opisy rzeczy z nauki poglądu (?) ich władze umysłowe obudziłeś, myśleć nauczyłeś, zakres pojęć i poglądu na świat (?) jak najobszerniej rozszerzyłeś i takowe z grubsza uporządkowałeś, a język ich do mowy i pojmowania wyższych (?) rzeczy usposobiłeś — dopiero wtedy możesz zacząć z nimi pierwszą naukę czytania początkowego (?) z pisaniem połączonego.“ Pomijając niefortunność tej figury retorycznej jako rzecz formalną, przeto podrzędną, i niektóre drobniejsze językowe usterki, niepodobna przecież nie wytknąć tu dwóch wielkich niedorzeczności, w przedostatnim mianowicie ustępie zdania przytoczonego. Jedną z nich jest zrobione przez autora artykułu odkrycie dydaktyczne, że język do pojmowania rzeczy wyższych można usposobić. Dotąd wiedzieliśmy tylko, że językiem można jedynie pojęcia wyrażać. Niedorzeczność tę zgładziłby jeszcze mógł zwykły podobnych usterków baranek, dla wygody piór mniej wprawnych wymyślony i *lapsus calami* nazywany. Ale cóż, kiedy tam wy-

rażnie mowa o usposobianiu do pojmowania rzeczy wyższych przed rozpoczęciem czytania! Druga więc niedorzeczność! Albowiem według planu naszego autora należałoby sposobem rozmów poufałych skończyć z dziećmi przynajmniej niższą szkołę realną, iżby się do pojmowania rzeczy wyższych usposobiły, i dopiero wtedy zacząć z nimi „*pierwszą naukę czytania początkowego*“.

Widocznie to zielone jeszcze pomysły.

„*Wprzódry trzeba dawnym torem,
Być studentem niż outorem*“.

Nie dojrzał też jeszcze na reformatora wychowania publicznego autor „*Uwag do reformy nauki języka łacińskiego*“. Już tytuł jego rozprawy „*Uwagi do reformy*“ zamiast „*nad reformą*“, nie najlepiej uprzedza czytelnika o jej autorze. Jakoż rzeczywiście podając projekt, który sprowadzeniem wykładu gramatyki łacińskiej z ośmiu lat na siedm, w istocie nic nie zmienia, autor podszywa się tylko pod wielkiego znaczenia wyraz „*reformę*“, który mu w całej pełni jeszcze nie wyjaśniał. Wielkie to słowo „*reforma*“. Jestto wyprowadzenie naukowości naszej z jej chorobliwego stanu, do czego głównie przyczynia się ułożona wadliwie gramatyka z całą filologiczną przyprawą. Ta wadliwość w gramatyce i budowanego na jej podstawie filologicznego systemu, jest prawdziwą szkół naszych plagą. Nie rozwija ona umysłu powierzonych szkole pacholąt, lecz go rozbija, i jest

główną przyczyną owego chorobliwego stanu naszej naukowości, który dzieci nasze prawdziwej nabawia kołowaczny. Proponujący reformę, powinien być przede wszystkim rozpoznać tę chorobę, i przekonać się, że jej nie uleczy byle jaka recepta. Widocznie też ci, do których to należy, muszą w tym celu o lepszego postarać się doktora. Nie pomogą paliatywy tam, gdzie potrzeba środka radykalnego.

Zakorzenionej głęboko choroby, którąby słusznie nazwać można filologiczną puchliną, nie zdołają również uleczyć rady autora: „*Odpowiedzi na kilka uwag względem ćwiczeń filologicznych w gimnazyach*”; jakkolwiek w porównaniu z tamtymi nierównie są stosowniejsze.

Niepodobna też podzielać we wszystkim uwag złożonych w tym przedmiocie przez autora rozprawy pod napisem: „*Stanowisko filologii klasycznej*“. Nie wchodzimy w niewłaściwość takich wyrażen jak: „jakoby szkoła taka“ t. j. gimnazjum, „musiała gdzieś wisieć na powietrzu“ dalej „kształcić młodzież w tym duchu, aby z niej zrobić ludzi“ i t. p. są to bowiem zapewne także usterki nieposłusznego pióra. Niepodobna przecież zgodzić się z autorem na jego twierdzenie, aby uczeń własności języka ojczystego bez porównania z językiem drugim pojąć nie potrafił. Albowiem z twierdzenia takiego wyprowadzićby trzeba tę zgubną zasadę, że naukę języka ojczystego poprzedzać po-

winna nauka języków obcych. Autor tego artykułu, występując w obronie języków klasycznych, chciał zapewne powiedzieć, że dopiero w poznawaniu tych języków i ich porównywaniu ze swoim (rozumie się już poznany) odsłaniają się myślącemu młodzieńcowi mowy ojczystej piękności i właściwości.

Obok tych próbek niedostałego autorstwa, mieści przecież szkoła także artykuły wytrawniejsze. Czytając je, poznać zaraz, że autorom ich nie idzie o popisanie się plonem zebranych powierzchownie wiadomości, ale o posunięcie naprzód samejże rzeczy. Znać po nich mistrza przedmiotu, poznać *ex ungue leonem*. Do tych liczymy przed innemi artykuł: „*W sprawie szkół żeńskich*“, i inny pod napisem: „*Jeszcze kilka aforyzmów o terażniejszym stanowisku żyjących języków w gimnazjach galicyjskich*“. Autor pierwszego z nich obok głębszej przedmiotu znajomości, złożył tam oraz dowody obywatelskiego namaszczenia; autor drugiego niepospolitej erudycyi i rzadkiego zmysłu dydaktycznego, zwłaszcza w uwzględnianiu narodowej ucznia właściwości. Oba artykuły czytają się łatwo i z przyjemnością, bo od początku do końca nęcą uwagę czytelnika ściśłem pilnowaniem przedmiotu i jasnym a logicznym rzeczy przeprowadzeniem. Oba też zniewalają czytelnika do podzielania przekonań autorów. Pióra te, gdyby usilność swoją skierować chciały ku samejże istocie wychowania publicznego, ku głównym tegoż zasadom, mogłyby

być niemałą pomocą agitujującej się u nas szkół naszych reformie. Usterki, jakie się mimo to wkra-
dły do ich artykułów, złożyć musimy na karb nie-
dopilnowania się w ostatecznej rewizyi. Mianowicie
co do autora artykułu: „Jeszcze kilka aforyzmów“,
że umieszczając na drugiej zaraz stronicy okres
z dwudziestu i dziewięciu wierszy złożony, a pod-
nosząc znaczenie treści w językowych ćwiczeniach,
zapomniał oczywiście na chwilę o formie objawu
własnej myśli, na którą niemniej ważne względy
zważać nakazują. Domyślać się tego każe cały tok
rozprawy, wszędy bowiem autor jej przemawia
zwięźle, jasno i wdzięcznie. Co zaś do autora ar-
tykułu pod napisem: „*W sprawie szkół żeńskich*“,
który do „*Szkoły*“ podał inną jeszcze pracę pod
tytułem: „*Ćwiczenia stylistyczne w szkołach niż-
szych*“ zwracamy jego uwagę na niewłaściwość po-
wtarzanego kilkakrotnie wyrażenia: „nauka po-
glądu“. Nazwa ta powstała z dosłownego przeło-
żenia na język polski niemieckiego wyrazu „*An-
schauungs - Unterricht*“, który jest nauką myśli
i mowy na przedmiotach pod zmysły pod-
padających. Długa to wprawdzie nazwa, ale o-
kreślająca rzecz wiernie i używana już po części
przez naszą Komisję Edukacyjną, a później także
w cennych „*Pismach pedagogicznych*“ Ewarysta
Estkowskiego. *Nauka poglądu* w powyższem zna-
czeniu jest bezsensem, bo mającego oczy nie po-
trzeba uczyć oglądać, wyższy zaś na rzeczy po-

gląd nie może być przedmiotem elementarnego nauczania, jest bowiem głębszej myśli wpływem.

Już to co do językowych usterków, znajdujemy się skutkiem wadliwości naszego edukacyjnego systemu, w stanie rzeczywiście opłakauym. Złemu ztąd wynikającemu i coraz więcej szerzącemu się, zaradziłby jak mniemamy, środek proponowany przez autora artykułu pod napisem: „*W sprawie ustalenia pisowni polskiej*“, t. j. pismo czasowe, poświęcone nie tyle ortograficznym usterkom, ile przede wszystkim wygluzowaniu z naszego języka przeciwnych jego duchowi wyrażień i zwrotów. Autor przytoczonego właśnie artykułu boleje nad panującą dziś anarchią w pisowni polskiej, zkałdby przypuszczać można „żeśmy już ludźmi, którzy się w niczem nie mogą zgodzić na jedno“. Nam rzecz ta w tak czarnych nie przedstawia się kolorach. Pisownia bowiem, choćby najniezgodniejsza, w porównaniu z szerzącą się tak gwałtownie ohydują zarazą obczyzny, na jaką jędrny nasz, wdzięczny, potoczysty język, skutkiem niewłaściwości systemu edukacyjnego został narażony, jest rzeczą, rzec można, błahą. Spory gramatyczne i ortograficzne były i są potrzebne już dla tego, aby z mechanizmu języka to co się zużyło uchylić, a przyjąć, coby w jego udoskonaleniu przedstawiało rękojmię krytycznie obmyślonego środka.

Przyjdzie czas, w którym powołani do tego męzowie rozpatrzą się, jak to już bywało, w tym or-

tograficznym bezządzie, i znowu złe ztąd wynikające do czasu uchylą. Rzecz to ciał naukowych t. j. zebranych w jedną komisję mężów nauki, którzy przedmiot ten według dzisiejszego stanu badań winni rozpoznać, i wyciągnięte ztąd, a na naukowej podstawie oparte prawidła do przestrzegania polecić. Dopóki to nie nastąpi, szkoły powinny się trzymać ostatniej tego rodzaju powagi, jaką jest „Deputacya Warszawska“ Malkontenci tymczasem mogą zwodzić harce o *pochyloń a*, o rzeczownikowe końcówki *ya, yja, ja*, o przymiotnikowe *ém* i *ym*, o *rozziwy, joty* i t. p., dopóki rozjemczy głos krytyki sporu na jedną lub drugą nieprzechyli stronę. Nigdy człowiek pojedynczy nie rozstrzygnie tego stanowczo, już dla tego, że własnej sprawy sędzią być nie może. Choćby nawet największą wypowiedział prawdę, będzie ona przecież prawdą tylko względną, zniewoloną obliczać się nietylko z nauką, ale nadto z instynktami narodu, który jej, gdyby go razila, nie przyjmie. Mąż taki choćby rzeczywistym był mędrce, jeśli zdaniem swem nie ugodzi w przekonanie ogółu, reforma jego może się nieprzyjąć. Język bowiem, to jakby dąb rozłożysty, dla którego gałęzi i liścia prawideł przepisywać nie można. Rozwój jego idzie wprawdzie w granicach ręką Stwórcy wskazanych, i z nich wychylać się nie może, w szczegółach atoli kruszy on więzy niewolniczej prawidłowości. Na tymże samym odwiecznym

dębie nie znajdziesz dwóch gałęzi jednakich, ani dwóch listków jednakiej długości, szerokości i miąższości. Tak samo ma się rzecz z naturą języka. Ma on wskazane wielkie rozwoju swego prawidła, ale co wiek lub pół wieku zmienia swój ustrój zewnętrzny, nie troszcząc się o prawidła, w jakie gramatycy skrepować go zamierzali. Gramatyka to potrzebny czynności szkolnej regulator, którego wszystkich prawideł wszelako na marmurowych tablicach nie godzi się wypisywać już dla tego, że nie wszystkie posiadają warunki trwałości. Dotyczące mianowicie zewnętrznego ustroju mowy wymagają peryodycznej reformy, która gdyby powszechnie miała być uznana, wyjść powinna z łona jakiej akademii, towarzystwa naukowego, w ogólności z ciała uczonego wprost ku temu zebranego, dziś przeto lub w najbliższej przyszłości z deputatów *ad hoc* lwowskich, krakowskich, poznańskich i warszawskich, którzyby o wątpliwościach orzekli. W ten sposób spory ortograficzne załatwiłyby się do czasu, a ktoby wahał się poddać wyrokowi tej nowej „Deputacyi,” ściągnąłby na siebie słuszny zarzut malkontenta lub dziwaka. Spodziewać się należy, że większość piszących poddałaby im się kornie, lecz nie wątpić, że po upływie jakiegoś czasu wypłyną na wierzch nowe wątpliwości, powstaną nowe zatargi. Trwać to będzie mianowicie co do pisowni tak długo, dopóki bogaty w głosy alfabet polski nie wzbije się do właściwej, marzonej dziś

prostoty. Aleć i zaspokojonym w tym względzie, nasuną się z czasem nowe wątpliwości, bo taka już kolej rzeczy ludzkich, a mianowicie wiedzy.

Proponowane w celu ustalenia pisowni polskiej pismo czasowe mogłoby wiele wyświecić, ale nigdy stanowczo sprawy nie rozstrzygnie. Wielkie atoli usługi sprawie języka naszego oddaćby mogło pismo podobne, które za cel obrałoby sobie ciągłe wytykanie germanizmów, galicyzmów i t. p. jakimi od wieku z wielką szkodą swoją nasiąka mowa nasza. Tego kierunku pismo t. j. takie, któreby na najpierwszym planie miało przywrócenie skazonemu dziś językowi polskiemu jego jędrności, wdzięku i właściwej mu potoczystości, byłoby dziś bardzo na dobre, staje się nawet koniecznem. Oczywiście bowiem piękną przodków naszych mowę z kału obczyzny, t. j. stojąc na straży jej ducha, przygotowywałyby zarówno stosowną form zewnętrznych przemianę. Pomyślmy naprzód o głównej złego przyczynie, a łatwiejsza już z formami będzie potem sprawa. Nie dokuczyły nam jeszcze tak dalece drobne draśnięcia ciała mowy naszej, (różna pisownia) ile kaleczenie jej ducha (szkaradne germanizmy).

Powiedzieliśmy powyżej, że „Szkoła“ z pola swoich doświadczeń zebrała zbyt skromny snopek zasad torujących drogę właściwej reformie. Zdziwiła nas przeto niepomalu myśl, jaką tam w artykule: „*O wydawnictwie książek szkolnych*“ wyrze-

czono. Artykuł ten wypowiada: „że dobra książka to dobry nauczyciel nawet dla nauczyciela, że przeto złe książki spalić, a nowe dobre napisać należy”. Słowa te zawierają wielką prawdę. Stwierdzają one tkwiące bezwątpienia w głębi duszy każdego myślącego nauczyciela przekonanie, że złe książki w obecnym szkół naszych systemie, to największe naukowości zapory. Uchylić je i utworzyć drogę naukowości właściwej młodzieży naszej, przez wprowadzenie do szkoły książek, odpowiednich naszym potrzebom duchowym i społecznym, oto pierwsze i najnaglesze z zadań naszej reformy. Żałujemy, że autor artykułu kwestyi tej nie dotknął w samej istocie, że się w głębinie jej nie zapuścił i na dnie samem nie odszukał zasad, które wszędy i zawsze towarzyszyć winny naukowości a przeto i książkom szkolnym. Tam niewątpliwie byłby on znalazł przewodnie dla celu swego myśli, i nie popadł w przypadkowość środków przez niego polecanych. Zdrowy instynkt, podniecany miłością przedmiotu i wytrwałością w pracy, bywa początkiem wielkich nieraz skutków. Autor rzeczonoego artykułu instynkta swoje winien pielęgnować, a przyczyni się do rozwikłania tego zagmatwanego węzła, jaki nam przedstawia ogłędne dzieł elementarnych opracowanie.

Dział recenzji książek szkolnych i pism w przedmiocie reformy wydawanych, najpotrzebniejszy w piśmie treści pedagogiczno-dydaktycznej, w „Szko-

le“ jest niemal żaden. Zawiera on ocenie matematyki Mocznika, dwóch książeczek Jerzykowskiego treści filologicznej i Roczników zgromadzenia technicznego we Lwowie. Te ostatnie pisane po niemiecku, a pierwsza z niemieckiego tłumaczona. Otóż i wszystko, prawie tyle co nic. O pismach wydawanych ostatnimi czasy i dawniej, dążących wprost do zamierzonej reformy, nie ma w „*Szkole*“ ani wzmianki. Redakcja, zdaje się, unika ich z umysłu. Czyżby tchnęła niechęcią do radykalnej przemiany naszego wychowania publicznego? czy też skamieniała w formach dotychczasowej edukacji, nie zdoła wyzbyć się ich na rzecz zasad żywszych i naturalniejszych, domagających się koniecznego ich w wychowaniu publicznym uwzględnienia? W każdym razie znak to nie dobry. Głównem bowiem pisma pedagogicznego zadaniem powinno być podnoszenie usiłowań podobnych, a nawet gdyby ich nie było, wywoływanie onych. Tymczasem oprócz niewielu wspomnianych powyżej rozpraw, zajmujących się zasadami, redakcja sama żadnej nie postawiła. Gdyby atoli jak mniemać można jeszcze ich w sobie samej nie wyrobiła, to godzi się położyć to na karb jej zasługi, iż niedościgłymi pomysłami w kwestyi najważniejszej nie chce zwiększać zagmatwania, w jakie nas wprowadziło obce nam duchem szkolnictwo.

Rzeczywistą wartość „*Szkół*“ stanowią umieszczane w niej akta urzędowe, dotyczące Rady

szkolnej i jej czynności, rzecz to atoli zwyczajnego archiwisty.

Z akt Towarzystwa pedagogicznego podnosimy „Memorandum“ podane do Rady szkolnej przez toż Towarzystwo. Pełne ono słusznych utysków na istniejące szkolnictwo, pełne dobrych zamiarów i chęci zapewnienia szkole i sobie takiego stanowiska, jakie się należy szkole i stanowi nauczycielskiemu z istoty ich powołania. Wszędy atoli przebija tam zależność Towarzystwa od tej korporacji, u której dla szkoły i dla siebie szuka ono rychłego zbawienia. Bezwątpienia wymaga tego zawisłe Towarzystwa od Rady stanowisko, wyciąga niemniej po niem karność narodowa. Przecież ani ta ani tamto nie stawia Towarzystwa w konieczności pochwalania z góry tego, czego jeszcze nie ma. Stósować do Rady szkolnej słowa, wyrzeczone niegdyś do sejmujących przez nieśmiertelnego kaznodzieję naszego: *„Wyście jako matki i mamki nasze: jeżeli nas odbieźycie lub źle o nas radzić będziecie, my poginiem i sami zginięcie. Wyście jako góry, z których rzeki i zdroje wytryskują: a my jako pola, które się owemi rzekami polewają i chłodzą“* tchnie zaiste pochlebstwem, które przesadzając i przeceniając z góry czynności Rady szkolnej, powierzona jej kwestyę pierwszorzędną na nie bezpieczeństwo naraża.

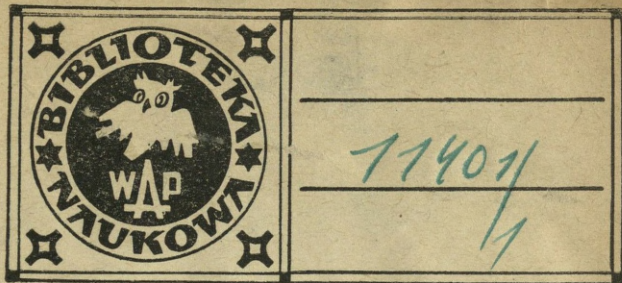
Owemi matkami, mamkami i górami w powyższem przyrównaniu, nikt inny być nie może tylko

sejmujący. Rada szkolna jest dzieckiem W. Sejmu i jego służebnicą, obowiązana do zdawania ścisłej liczby ze swych czynności. Będąc ciałem autonomicznem, ulega ona krytyce tak samo jak wszystkie władze państwa konstytucyjnego. Nie należy więc usypiać jej przedwczesnemi pochwałami, iżby się nie wbijała w zarozumienie, a to znów nie obracało się na szkodę narodu. Rada w odezwie swej do kraju, obiecuje wprowadzić wychowanie „na tory narodowe.“ Chwalebne to usiłowanie dotąd niestety w niczem jeszcze się nie objawiło. Jak słychać chowa Rada w swych tekstach różne wnioski do W. Sejmu, o których zgodzie z jej obietnicami, gdy dotąd tajemnicą są pokryte, sądzić nie możemy. Aleć już tego na zasługę policzyć jej niepodobna, iż wnioski swe uchyla z pod sądu opinii. Faktem tym przeczy ona słowom własnej odezwy: „że kraj, który tak gorąco domagał się instytucji z dniem dzisiejszym w życie wchodzącej, pospieszy nam z pomocą na każdym kroku i przy każdej trudności,“ że w oczekiwaniu dobroczynnych skutków wzajemnej pracy „każdy mieszkaniec kraju poczuje się do obowiązku współdziałania w tej najżywotniejszej sprawie publicznej.“ Co wypowiedziawszy Rada zamknęła się w tajemnicy i tem samem odsunęła od „współdziałania,“ „kraj“ w ogólności i „każdego mieszkańca kraju“ w szczególności. To co

w wyciągach protokólnych z czynności jej na jaw wychodzi, jest niczem w porównaniu do kwestyj zasadniczych, jakimi z powołania swego zajmować się winna. Te zaś, jeżeli je obmyśliła, powinna już była podać do wiadomości kraju, jeżeli prawdą są słowa jej odezwy, „że widzi cały ogrom leżącego przed nią dzieła i czuje całą odpowiedzialność, jaką na siebie bierze.“ W. Sejm, mając zazwyczaj u nas dni policzone, a tyle do załatwienia różnorodnych kwestyj, byłby Radzie bez wątpienia wdzięczny, gdyby wnioski swoje poddała była naprzód publicznej rozprawie, iżby sejmujący, gdy kwestye edukacyjne przyjdą pod obrady, już o nich mieli wyrobione zdanie. To zaś, co dotąd wyszło na jaw z czynności Rady szkolnej, nie upoważnia wcale do wniosków o zgłębieniu przez nią kwestyi reformy w duchu potrzeb narodu. Ustanowienie mianowicie komisji do ksiązek szkolnych ruskich, bez równoczesnego ustanowienia takowej dla ksiązek polskich, i postanowienia dla jednych i drugich zasad ogólnych, jest dowodem zapoznawania przez nią znaczenia najcenniejszego klejnotu wszelkiego wychowania t. j. ksiązek, i najwyższego dzisiaj interesu kraju t. j. jedności zasad. Uchwała powyższa rozdwaia z góry, co przedewszystkiem w jedno złączyć była powinna. Zapoznaje też znaczenie ksiąg elementarnych od których reformę rozpocząć była powinna. W ten

sposób Towarzystwo pedagogiczne nieco przedwcześnie wybrało się do Rady z swym hołdem.

Kończąc to ujemnych i dodatnich stron „*Szkoły*“ wierne ocenienie, przywodzimy własne jej słowa, umieszczone w konkluzji pierwszej jej odezwy: „Pracujmy niez mordowanie, kształćmy się zawodowo, zespalajmy nasze siły, a nie ominie nas nagroda, która nam się należeć będzie. to jest, że organizowanie i prowadzenie szkół nam jako specjalistom kraj chętnie odda.“ Słowa te, skutkiem półrocznego przeszło doświadczenia, dziś jak następuje należałoby postawić: Pracujcie i kształćcie się, abyście zrozumiałwszy właściwe potrzeby wychowania publicznego, gdy reorganizacja szkół w duchu narodowym dokonana zostanie, stać się mogli wiernymi jej wykonawcami.



77401
1